

„PRZYKRA WOŃ DZIECI-KWIATÓW”

(„Gazeta Wyborcza”, Magazyn Gazety, 15.04.1999r.)

Wywiad

Ze Zdzisławem Beksińskim rozmawia Robert Makowski

ZDZISŁAW BEKSIŃSKI

Malarz, fotografik, rzeźbiarz. Urodził się w Sanoku. 24 lutego obchodził 70. urodziny. W 1952 roku ukończył architekturę na Politechnice Krakowskiej, powrócił do Sanoka, gdzie pracował we wzorcowni przemysłowej tamtejszej Fabryki Wagonów. Od 1955 r. zajmuje się malarstwem, rzeźbą, grafiką, a od 1974 r. – wyłącznie malarstwem. W 1964 r. pomarańczarni warszawskich

Łazienek miał pierwszą samodzielną wystawę. Pod koniec lat 70. zastąpił serią obrazów o charakterystycznej, nierealnej tematyce, które sam nazywał „fotografowaniem wizji”. W 1977 roku przeniósł się do Warszawy. W latach 80. za sprawą marszanda, Piotra Dmochowskiego, jego obrazy trafiły do paryskich galerii. W latach 90., na skutek recesji i zmiany sytuacji rynkowej w Polsce, Beksiński wycofał się ze współpracy z Dmochowskim. Mieszka i pracuje w Warszawie, zajmuje się tworzeniem grafiki komputerowej. Niedawno otworzył wirtualną galerię: <http://www.webmarket.com.pl/beksinski/>

Trafił Pan do kultury masowej, Pana obrazy są rozpoznawane i natychmiast kojarzone z nazwiskiem...

...ale wyłącznie obrazy z okresu fantastycznego. Widzę teraz w Internecie, że jacyś entuzjaści, którzy nawet nie potrafią ortograficznie pisać, głoszą rozmaite peany na mój temat. To, co od kilku lat maluję, prawdopodobnie w ogóle się nie podoba. Moje obecne obrazy są taką plątaniną linii. Majaczy w nich zdeformowany kształt głowy lub tułowia. Są robione tak, jak rysunek piórkiem czy pędzlem.

Skąd się wzięła Pana popularność w latach osiemdziesiątych?

Działo się to niejako poza mną, zaczęło się już dużo wcześniej, już w Sanoku. Wówczas nie było niczego – ani komiksów, ani wideokaset, moje obrazy robiły więc chyba i za jedno, i za drugie. Ten świat był trochę inny, na obszarach subkultury funkcjonowali pobożni hipisi. Szli z pielgrzymką do Częstochowy, a później – ni z tego, ni z owego – odpryski tej pielgrzymki przyjeżdżały do Sanoka i rozsiadały się u mnie w pracowni na podłodze. Nogi mieli cokolwiek niedomyte, więc jak na dzieci-kwiaty przystało, wydzielali woń, do tego nie można się było ich pozbyć. Byłem idolem, chociaż nie wiedziałem, jak mam się zachować w tej sytuacji.

Ta popularność drażniła czy może odpowiadała Panu?

Ani tak, ani tak. Jestem życzliwy ludziom, mimo wrodzonej ironii i złośliwości.

Siedzieli na podłodze i prosili, żeby włączyć jakąś muzykę, gdyż dysponowałem potężną jak na owe czasy kolekcją zachodnich płyt z muzyką pop. Mijały kolejne godziny, a ja w swej nieśmiałości nie potrafiłem im powiedzieć, żeby sobie wreszcie poszli, bo chciałem trochę popracować. Ułatwiała mi to żona. Założyła raz jakąś koszmarną sukienkę z trenem, od amerykańskiej ciotki, wpadła nagle do pokoju ze słowami: „Zdzisław jesteście już spóźnieni”. Dzieci-kwiaty posłusznie wstały i gęsiego opuściły pracownię. Później tak już zostało: „sukienka do wypraszania fanów”.

Jeszcze teraz przyznają się do Pana różne instytucje. Muzycy rockowi i to standard, w Internecie znalazłem satanistów. Nie protestuje Pan?

Cóż można na to poradzić? Witkacy też był kimś innym niż to, co z nim zrobiono. Muzycy opatrują swoje okładki obrazami, które udostępnił im mój syn ze swojej kolekcji. Specjalnie mi to nie przeszkadza. Jeśli gdzieś jest mój obraz – ktoś go zobaczy.

W Internecie są publikowane moje obrazy, jest ich sporo ale to tylko prawo wielkich liczb. Z reguły kopiowane są witryny internetowej galerii w Beverly Hills, która sprzedaje podpisane przeze mnie reprodukcje. Wyszukałem w jakiejś przeszukiwarce nazwisko BEKSINSKI i zobaczyłem, że jest o mnie w 203 miejscach. O cholera: dużo... By jednak uzyskać jakąś wartość odniesienia, wystukałem NUDE i okazało się, że jest ponad 8 milionów haseł. Jak przekłuty balon powróciłem do właściwych sobie rozmiarów, Internet to nieprawdopodobny śmietnik, każdy coś do niego wrzuca. W Internecie występuję też pod hasłem HORROR. Za mną księżna Diana ze śladami opon na twarzy, ale przede mną Fredy Krueger z „Koszmaru z Ulicy Wiązów”. Tak też bywam postrzegany! Może nawet przede wszystkim tak. Księżna Diana to nie najgorsze sąsiedztwo, ale Fredy Krueger? To coś dla dziesięciolatków!

Dlatego w pewnym momencie Pan zniknął?

Jeśli myśli pan o prasie springerowskiej, to rzeczywiście tam mnie pan nie znajdzie. Jestem w tym wieku, że niczego, co by poruszało serca gospodyń domowych, nie da się już o mnie napisać.

W jaki sposób chciałby Pan być zapamiętany?

Nie wierzę, że ktokolwiek zostanie zapamiętany.

Czy Pańskie obrazy nie miały być „butelką rzuconą w przyszłość”?

Dobrze, ale wtedy byłem młody i naiwny. Teraz już tego nie chcę – straciłem nadzieję. Czasem nie wypijam coli do końca, zakręcam butelkę i wrzucam ją do zsypu. Mam nadzieję, że po 800 latach jakiś asystent ją odkopie i zrobi doktorat na przykład na podstawie: „starej butelki z okresu prymitywizmu z resztkami płynu, pitego zapewne w celach kulturowych”.

W jaki sposób sam by się Pan określił? Jestem perfekcjonistą, maksymalistą, technokratą (pejoratywne?), jestem...

Tworzenie definicji nie jest moją mocną stroną, a pan domaga się ode mnie jakiegoś $E=mc^2$. Nawet po moich obrazach widać, że nie umiem stworzyć syntezy i nie zrobię tego teraz. Lubię pogrążyć się w baroku, w dygresjach, ozdobach itd... ale nie jestem niczego pewien. Nigdy.

Wie Pan, co na Pański temat napisano w encyklopedii?

Nie wiem. Zapewne te słowa opisują tylko pewien etap mojego życia. W przyszłości najprawdopodobniej będą znaczyć coś zupełnie innego.

Szlag mnie trafia, że nie wiem, co po mnie zostanie. Wyjeżdżając w latach siedemdziesiątych z Sanoka, spaliłem nieprawdopodobną stertę obrazów. Już wtedy

byłem znany, wszyscy liczyli, że coś sobie zabiorą. Spaliłem je, bo się bałem, że wszystkie moje najlepsze obrazy gdzieś się zniszczą, przepadną, a ja będę znany tylko z tych najgorszych, które pechowo się przechowały. Nie możemy przewidzieć, jak będziemy postrzegani. Wizytówką Muncha w historii jest „Krzyk”, a przecież to jedna z jego najgorszych prac! Z greckiej literatury starożytnej powszechnie znamy tylko Homera. A jeśli z całej naszej twórczości dramaturgicznej zostanie tylko „Dynastia”? Jeśli tak się stanie, to za tysiąc lat studenci będą mieli seminaria na temat koligacji w rodzinie Carringtonów, a „Dynastia” urośnie do rangi pomnikowego arcydzieła na miarę „Iliady” i „Odysei”.

Zasłynął Pan z pejzaży metafizycznych. Dlaczego mówi Pan o nich z lekceważeniem?

Owszem, robiłem to, ale w pewnym momencie miałem już dość. Pewne wyobrażenia o mnie utrwaliły się dlatego, że wyszedł album, poświęcony konkretnie temu okresowi mojej twórczości (Arkady, Warszawa 1989, nakład 20 tys. egz. – przyp. R.M.). Prawie

nikt nie wie, że przedtem byłem abstrakcjonistą i że potem malowałem coś innego. Nikt nie wie, że w tej chwili robię coś na komputerze – ani „naiwny” odbiorca, ani krytycy. Nie, nie mówię o tamtych obrazach z lekceważeniem, po prostu minęło mi...

„... Boże, ileż ja natrzepałem tego chłamu...” – to cytat z Pańskiego wywiadu z lat 80.

Powiedziałem to, kiedy się przekonałem, ile ja tego naharatałem. Wtedy, w latach siedemdziesiątych, sprzedawałem szybciej niż malowałem, natychmiast byli klienci i natychmiast chcieli moje obrazy. Po latach, Piotr Dmochowski, który chciał wylansować mnie w Paryżu, dał zlecenie fotografowi, żeby ten jeździł po Polsce i robił dla niego zdjęcia moich dawnych prac. Przed laty sam na czarno-białym materiale, archiwizowałem wszystko, co wychodziło z pracowni – robiłem zdjęcie, a negatyw chowałem do szuflady. Pożyczyłem Dmochowskiemu swoje stare negatywy, zrobił z nich odbitki, dodał to, co sam zarchiwizował, a wszystko dał mi do opisania. Wtedy nagle zobaczyłem, ile tego

naprawdę jest. Boże przenajświętszy, przecież ja powinienem to już dawno skończyć, tyle tego natrzepałem...

„...te obrazy, takie <prawdziwe>, z obłokami, dziwnymi postaciami, to się dość szybko odpieprza...”

Mam dużą łatwość kształtowania „realistycznego oglądu rzeczy wraz z cieniami własnymi i rzuconymi” jak to się pięknie nazywa. Konsekwentna budowa własnej formy w świecie, w którym nie obowiązują już reguły fotograficzne, jest wbrew wyobrażeniom przeciętnego odbiorcy o wiele bardziej skomplikowana. Może jestem teraz bardziej nieudolny, tego też nie wykluczam. Na pewno jestem mniej wydajny.

W swych „latach chrystusowych” malowałem ponad czterdzieści obrazów rocznie. Gdzież ja teraz dam radę, nawet dwudziestu nie wyciągnę. Mam 70 lat – więc albo ja jestem teraz mniej wydajny, albo też te obrazy wymagają więcej roboty.

Na początku lat 80. był Pan przez jednych gloryfikowany, przez innych krytykowany. Kto z nich miał rację?

Nie wiem, kto ma rację. Racja pewnie nie istnieje. Te opinie były podzielone pomiędzy krytyków i ludzi, którzy nie mają wykształcenia plastycznego, którzy na obraz patrzą naiwnie. Maluję teraz obrazy mniej przypominające ten rzeczywisty ogląd rzeczy. Obrazy z okresu metafizycznego to rodzaj kolorowych slajdów, tyle że z fantastycznej rzeczywistości. I tak zwany niewykształcony odbiorca postrzegał coś takiego jako nareszcie dobrze namalowane. Niektórzy krytycy pamiętali, że swojego czasu należałem do tzw. sztuki awangardowej. A na to, co zrobiłem, malując obrazy z okresu fantastycznego, znali tylko jedno określenie: „stoczenie się w bagno schlebiana gustom drobnomieszczańskim”. Nikt nie użył tego określenia głośno, bo z wieloma osobami byłem zaprzyjaźniony, ale miałem świadomość tego, że kraję rybę nożem i popijam winem deserowym, więc wypada udawać, że się tego nie dostrzega.

Czy opinie ludzi mają wpływ na to, co Pan tworzy?

Niestety, mają. Z ludźmi więc najchętniej rozmawiam o sprzęcie wideo, o komputerach, gotów jestem nawet rozmawiać o polityce, chociaż mnie nudzi. Nie lubię rozmów na temat swoich obrazów. Czuję się później do czegoś zobowiązany, tak jakby jakiś głos z boku podpowiadał mi i przeszkadzał słuchać tego, co płynie mi w duszy. To nie działa tak, że jeśli usłyszę, że mój obraz jest genialny, natychmiast namaluję taki sam. Raczej tak, że kiedy słyszę, że jest paskudny, to myślę sobie: „ja ci teraz dopiero namaluję paskudny, jak zobaczysz następny, to uderzysz dupą o sufit...”. Takie myślenie jakoś w ten czy inny sposób wiąże ręce, dlatego nie lubię słuchać opinii innych. Obojętnie, jakie by one były – życzliwe czy nie.

Wizjoner, śmierć, przemijanie – w ten sposób skatalogowali Pana krytycy. Z czym czuł się Pan najlepiej?

Niechże pan zrozumie, krytyk ma ciężkie życie – przynajmniej raz w tygodniu czy miesiącu musi coś napisać, a z reguły nie bardzo jest o czym. W pewnym momencie już nie wie, co pisać, a musi operować mniej więcej tymi samymi określeniami. Napisać coś na temat obrazu to cholernie ciężka praca. Ja na przykład umiem na temat obrazu powiedzieć tylko fajny lub nie fajny. Powstają więc rozmaite opinie, które potem traktowane są jako coś więcej niż tylko wypracowanie pana X. zrobione nie tyle z porywu serca, ile dla chleba.

Swoimi obrazami na pewno usprawiedliwiałem wiele z tych określeń. Mam jednak pewne pretensje o to, że gdy w moich obrazach były ewidentne elementy groteski czy persyflażu, to wszystko było przyjmowane zawsze całkiem na serio i krytykowane jako epatowanie horrorem. A przecież wiele moich obrazów było zdecydowanie persyflażowych.

Z kogo Pan kpił?

Z nikogo konkretnie. Uwielbiam cudzość i pozycję niezaangażowanego obserwatora. Cały świat jest czymś nad wyraz nieprawdziwym, sztucznym, groteskowym i żenującym. Bóg, stwarzając człowieka, miał swój zły dzień i spartaczył robotę.

Dlaczego teraz zainteresował się Pan fotomontażem i komputerem?

Najpierw fotografowałem, fotomontaż zainteresował mnie później. Zacząłem go robić w Sanoku, jeszcze w latach 50., w latach, kiedy o PC nikt nie słyszał. Wie pan, jak wyglądał fotomontaż w epoce kamienia łupanego? Kopiowanie, odbijanie, sklejanie, retuszowanie i znowu fotografowanie tego. To był bardzo żmudna robota, chociaż jej efekt już wtedy był dla mnie inspirujący. Po przeprowadzce, w Warszawie, było już za ciasno, żeby urządzić tu ciemnię. Pierwszy komputer kupiłem w 1992 roku jako maszynę do pisania. Zobaczyłem przy okazji w sklepie działanie programu Photoshop na silniejszym

komputerze niż ten kupiony przeze mnie i to zaowocowało po paru latach kupnem sprzętu, który zastąpić już może ciemnię, statywy do reprodukcji, klejenie i retuszowanie pędzelkiem. Nie tylko zastąpić, ale dać o wiele więcej.

Czy to, że zainteresował się Pan komputerami, wynika z ich sztuczności?

To jest po prostu narzędzie. Komputer tylko szybko przelicza. Jeżeli chcę zmienić kształt ręki, to gdybym miał przeliczyć, o ile ma się przesunąć każdy piksel...

...to miliony bitów, które krążą po procesorze. Nic nie dzieje się w rzeczywistości.

W ten sam sposób można powiedzieć, że farba olejna to związki chemiczne, atomy, elektrony. W ogóle gdzie i czym jest rzeczywistość?

Podstawowe ograniczenie komputera dla mnie polega na tym, że lubię malować w pionie, a komputer ma monitor w poziomie. Specjalnie zacząłem teraz malować obrazy w poziomie, po to, żeby się przyzwycząić.

W jaki sposób Pan pracuje? Wychodzi Pan z aparatem do miasta...

Niektóre zdjęcia rzeczywiście są robione na mieście. Często proszę kogoś, żeby pozwolił się sfotografować. Szukam twarzy pomarszczonych, bo są najciekawsze, z nich można najczęściej wydusić.

Pomarszczonych wiekiem czy zmęczeniem?

Po prostu pomarszczonych, zmarszczki są elementem plastycznym, którym mogę manipulować.

Kim są ludzie na Pańskich obrazach?

Postacie przypadkowe. To na przykład kobieta, która wsiadała do tramwaju na placu Bankowym. Zainteresowały mnie fałdy na jej sukni. Wprowadziwszy skanerem slajdy do komputera, robię z nich, posługując się digitizerem, bardzo precyzyjne wycinki dłoni, fałdów, głów, murów, okien etc...które archiwizuję w formie katalogu. Można potem tym manipulować jak puzzlami, można je sklejać każdy z każdym, zmieniać kolor, rozciągać, skręcać, zwiększać, zmniejszać. Tak zabawa w doktora Frankenstein: sklejanie świata z kawałków od nowa.

Dlaczego pracuje Pan właśnie z ludzkimi twarzami?

To zabieg chyba usprawiedliwiony przez tradycję, od zawsze malarstwo zajmowało się twarzami. Interesuje mnie technika, którą za muzyką nazwijmy „wariacyjną”. Nie robię twarzy, tylko „wariacje na temat twarzy”. Temat tych wariacji musi być znany i łatwo

rozpoznawalny. Tak ja w jazzie – jeśli zna pan temat standardu, może pan podążać za najbardziej zwariowaną improwizacją saksofonisty, jeśli ów oczywiście trzyma się tematu.

Pan później te obrazy tak po prostu drukuje?

Jeszcze nic z nimi nie zrobiłem, ciągle nie mam drukarki na odpowiednim poziomie. Czasem tylko robię wydruk kontrolny. Być może kiedyś to wydrukuję i zrobię wystawę? Może zrobię wystawę na monitorze? Bawi mnie robota, nie myślę o tym, co mam z tym zrobić. Zarabiam obrazami, żeby bawić się w komputer. Jeżeli mogę się w to bawić, to co właściwie w tym złego?

To, co robi Pan teraz, jest nietrwale, trwałość nośnika magnetycznego, jest oceniana na bodajże 25 lat.

Nic nie jest wieczne. Jeżeli będzie coś warte, to ma szansę przetrwania, bo nie ma żadnego problemu z przepisywaniem informacji cyfrowej. Można ją w nieskończoność kopiować, zawsze pozostanie taka sama.

Co wtedy jest autentyczne?

Chodzi pan o odcisk palca, taki prawdziwy, nieprzenośny? Nie wiem, co będę robił z tym dalej, ale założmy, że wydrukuję i podpiszę „Beksiński”. Kiedy upewnię się, że można to sprzedawać, będę robił po jednej kopii. Może znajdzie się ktoś, kto za to zapłaci. Zresztą mam za co żyć i mogę to robić dla samej frajdy.

Ale cały czas pozostaje możliwość powielania zapisu cyfrowego.

Oczywiście, że powielanie sprzeciwia się samej idei handlu...

...a sztuki?

Jeśli zapis cyfrowy został już zrobiony, nawet jeśli będzie skopiowany łańcuszkowo 40 razy, pozostanie mój. Pewnie za dziesięć lat nie będzie ani CD-ROM-ów, ani nawet DVD, ale cokolwiek będzie zamiast nich, to przepisanie bitów będzie takie samo. Tu przy kolejnych kopiach nie narasta entropia jak w zapisie analogowym.

Po co ludzie tłuką się do muzeów w Wiedniu czy Paryżu, żeby zobaczyć oryginał van Gogha czy Picassa?

Tego ja nie wiem, do muzeów nie chodzę, oglądam wyłącznie wystawy sklepowe.

To Panu wystarczy?

Jeśli na wystawach są ciekawe rzeczy, to niewątpliwie tak. Nie lubię oglądać obrazów.

Nawet swoich?

Swoimi chciałbym się otaczać, ale nie mam na to szans. Wiedeński malarz Anton Lehmden kupił sobie zamek z czterem wieżami, kolumnadami wielkości prawie Wawelu. Może w nim powiesić całą swoją twórczość. Malarz chyba lubi żyć w otoczeniu swojego potomstwa.

Dlaczego nie nazywa Pan swoich obrazów?

Ludzie za mnie to robią. Przed rokiem na jakiejś aukcji mój stary obraz podpisano: „Uskrzydłona nerka”. Co to za tytuł, do jasnej cholery! Zadzwoiłem nawet wtedy do właściciela galerii, że dopiero co Szymborska dostała Nobla i nie ma w Polsce nadziei na kolejnego w ciągu najbliższych dziesięciu lat, więc niech się nie stara nadaremnie.

Dlaczego więc Pan sam nie nazywa swoich obrazów – unikałby Pan takich sytuacji.

Namalować dobry obraz jest trudno, ale już prawie niemożliwe jest wymyślić dobry tytuł. To czynność o wiele trudniejsza od malowania. W jakimś okresie swej działalności dodawałem tytuły na zasadzie kontrapunktu – tytuł łącznie z obrazem miał stwarzać jeszcze coś innego, coś poza tytułem i poza obrazem. Ale nikt tego nie odczytywał, to było czytane całkiem „na abarot”.

Ludzie lubią proste tytuły – na obrazie jest głowa, to ma być „Głowa”. Ktoś ostatnio zatytułował jeden z moich obrazów „Skrzypek”. To jeszcze jest do przyjęcia, ale złośliwie mógłbym powiedzieć, że to nie jest skrzypek, tylko pracownik stacji benzynowej w Chabówce pod Nowym Sączem ze skrzypcami w rękach. Jak dokładnie, to dokładnie.

Kiedyś powiedział Pan: „znaczenie nie ma dla mnie znaczenia” – co to znaczy?

No bo nie ma. Cały czas mogę się pod tym podpisać. Nieustannie pytano mnie o znaczenie obrazów. Nie wiem, co to do cholery znaczy. A co ma znaczyć Dziewiąta Symfonia Mehlera? Nic nie znaczy, mimo że Mahler później dopisywał jakieś dyrdymały. Są kompozytorzy, którzy specjalizują się w dodawaniu tytułów. Ludzi lubią mieć coś, czego mogą się uchwycić. Nie znoszą, kiedy obrazy nazywają się tak, jak wczesne kompozycje Pendereckiego – „Polimorphia”. Wolą „Tren Ofiarom Hiroszimy”, bo tym można się podeprzeć. Założę się, że Penderecki napisał muzykę tak, jak ja robię obraz, a tytuł wymyślił ex post.

Kiedy zobaczyłem w Muzeum Archidiecezji Pański obraz, ni to twarz, ni to maskę, poczułem, że jeżą mi się włosy – właśnie o to Panu chodziło?

Nie mam nigdy tego typu zamiarów. Staram się namalować dobry obraz, ale jeśli ktoś odbiera go w ten sposób, to „tyz piknie”.

Maluje Pan obrazy po to, by inni je odczuwali?

Na bezludnej wyspie, bez nadziei wydostania się z niej czy jako ostatnia osoba żyjąca po zagładzie atomowej, na pewno bym nie malował.

I tak nie szuka Pan publiczności. Maluje Pan dla siebie? Dla innych?

Nie chce mi się wykonywać jakichś gestów w tym kierunku, musiałbym robić wystawy...Zazwyczaj odkładam to na przyszłość. W młodości wszystkie swoje obrazy trzymałem pod łóżkiem. Kiedy ktoś przychodził do mnie, pierwszą rzeczą, którą robiłem, to wyciągałem je spod łóżka, żeby mu pokazać. Później się przekonałem, że w zasadzie ludzi guzik obchodzi, co robię, a oglądają z grzeczności, więc po cholere mam siebie i ich męczyć. Dziś pokazuję dopiero wtedy, jeśli ktoś o to wyraźnie prosi.

Nazywany był Pan „Samotnikiem z Sanoka”. Wciąż Pan nim pozostaje?

Chyba tak, chociaż bardzo lubię rozmawiać.

Niedawno otwarto w Warszawie wystawę siedmiu najwybitniejszych malarzy polskich końca XX wieku. Nie żałuje Pan, że Pańskie obrazy nie znalazły się na tej wystawie?

Nie wiedziałem o jej istnieniu. Jak widać, nie jestem zaliczany do najwybitniejszych. Ale może i tak było, że zostałem zaproszony, a nie odpowiedziałem? Kiedy coś takiego do mnie przychodzi, zazwyczaj od razu mielę to w niszczarce do dokumentów.